

3 Pożegnanie naczelnego

Teksty powinno się zaczynać od jakiegoś wstępu. Czegoś, co przyciągnie uwagę Czytelnika i sprawi, że poświęci trochę swojego cennego czasu. Szczególnie podziwiam twórców, którzy potrafią przyciągnąć uwagę innych na występie, który jest w zasadzie, i tylko, czymś monologiem. Być może ten też ma podobną siłę, nie wiem. Oto i on: Dzień dobry Czytelniku, właśnie skończyłem szkołę średnią, a to są moje ostatnie słowa na pożegnanie.

6 Być jak Elon...

Wstawiasz głupie tweety, palisz marihuanę podczas wywiadu, nazywasz własnego syna Æ A-12 (dosłownie!), podczas pokazu przypadkiem rozbijasz szybę samochodu, jednocześnie wstawiając (znowu!) nieprzemyślane tweety. Przede wszystkim jednak jesteś dyrektorem wykonawczym dwóch ogromnych firm. Może to tak wygląda codzienność redaktora naczelnego „Politechnika Juniora”? W końcu to trochę taki CEO, prawda?

8 Musisz mieć własną stronę!

Współcześnie nasz wizerunek w internecie bardziej niż kiedykolwiek ma wpływ na decyzje innych ludzi - szczególnie te dotyczące zatrudnienia. Nie mam na myśli nawet trwającej epidemii, ale realia świata, w jakim żyjemy - nie ma w tym zresztą nic dziwnego. O ile niektórym wystarczy Instagram albo LinkedIn, istnieje o rząd wielkości lepsza alternatywa.

10 HOT16 CHALLENGE... 2

1 września 2014. Raper Solar wrzuca na kanał SB Maffija 2-minutowy filmik, w którym przedstawia swoim słuchaczom pomysł na wyzwanie inspirowane bardzo popularnym w tym czasie Ice Bucket Challenge. Akcję nazywa „hot16 challenge”, a całość polega na tym, żeby napisać 16 wersów i nagrać je do kamerki w wybranej przez siebie konwencji. Następnie, wzorem Ice Bucket, nominować osoby, które mają w ciągu 72 godzin odpowiedzieć swoją „szesnastką” i puścić akcję dalej.

13 Breslau w dobie zagłady

Kiedy pod koniec roku 1944 zaczęto trafnie przewidywać, że niedługo Breslau znajdzie się na linii frontu wschodniego, w jednym z najważniejszych miast III Rzeszy wybuchła panika. Ludzie zaczęli w popłochu opuszczać swoje domy, zabierając na marsz śmierci w zimowym mrozie tyle, ile zmieści się na dziecięcym wózku. I choć od tragedii Festung Breslau minęło 75 lat, a jego historia wydaje się odległa – wrocławianie powinni wciąż o niej pamiętać.

Pożegnanie naczelnego

Teksty powinno się zaczynać od jakiegoś wstępu. Czegoś, co przyciągnie uwagę Czytelnika i sprawi, że poświęci trochę swojego cennego czasu. Szczególnie podziwiam twórców, którzy potrafią przyciągnąć uwagę innych na występie, który jest w zasadzie, i tylko, czymś monologiem. Być może ten też ma podobną siłę, nie wiem. Oto i on: Dzień dobry Czytelniku, właśnie skończyłem szkołę średnią, a to są moje ostatnie słowa na pożegnanie.

Do Najbliższych

Zacznę od Was, bo czuję, że powinienem być zrobić więcej dawno i w zupełnie innych okolicznościach.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że nie potrafię poznać innej osoby, bo zawsze przeszkadza w tym moje ego. W rzeczywistości relacje działają na zasadzie akcji-reakcji. Nigdy nie potrafimy poznać innego człowieka, tak samo jak nigdy nie poznamy samych siebie. Możemy przybrać różnego rodzaju pozy, żeby dopasować się do mody, okoliczności lub innych.

Brzmi to jak kiepskie usprawiedliwienie siebie i przerzucenie odpowiedzialności na innych, wypisz, wymaluj moja skromna osoba. Nie zamierzam się jednak użalać nad sobą przed Wami ani popadać w drugą skrajność. Po raz pierwszy spróbuję znaleźć środek.

Owszem, nie potrafimy siebie nawzajem poznać. O wiele za często odkrywamy drugą twarz osoby, bądź jesteśmy świadkami jej przemiany. Niejednokrotnie to doświadczyliśmy, po czym zweryfikowaliśmy własną relację z innym człowiekiem, co kończyło się jej zerwaniem lub wzmocnieniem. Problemem też stanowi brak balansu. Nadmierne angażowanie się (wysokie wymaganie, nadopiekuńczość, zaborczość) lub jego zupełny brak (ignorancja, izolowanie, niesłuchanie), nie ważne, czy mówimy o kolegach, przyjaciółach, czy partnerach, są truistycznie niezdrowe i szkodliwe. Dlaczego zatem tak łatwo jest w nie popaść? Bo są prostsze.

Wiem, że niejednokrotnie pokazałem się od swojej najgorszej strony, zepsułem coś budowanego x czasu lub żyłem w iluzji, że istnieje więź. Nie zamierzam ukrywać faktu, że spędziłem dobrze czas przy Was, z Wami, oraz że tęsknię. Nie potrafię jed-

nak powiedzieć, czy da się odratować pozostałości po znajomościach lub je umocnić. Nie domagam się niczego. Nie proszę o nic. Byłem dla Was jedynie jednym z wielu ulotnych żyć, niczym więcej. Być może spotkamy się raz jeszcze, będziemy dla siebie jak gdyby nigdy nic, zapomnimy od wszystkim i pozostaniemy w kontakcie, albo zaczniemy od nowa i inaczej. Możliwe jednak, że nie będzie następnego razu, a ten jest ostatni. Mimo to jestem szczęśliwy, że znaleźliście się ze mną na tej drodze.

Do Belfrów

Zawsze o wiele lepiej rozumiałem się z dorosłymi. Zwłaszcza z nauczycielami. Miałem to szczęście, że praktycznie trafiłem na najlepszych, jakich mogłem sobie wymarzyć.

Jestem zdania, że z dobry nauczyciel charakteryzuje się magnetyczną wręcz charyzmą i można z nim porozmawiać na dowolny temat, nie tylko związany z jego przedmiotem. Każdy jednak jest inny i na swój sposób unikalny. Zawsze na korytarzu, przed i po lekcji, okazja do prostej rozmowy o niczym owocowała jakąś ilością wiedzy o życiu, wszechświecie i całej reszcie. Każda lekcja stała się jedynym w swego rodzaju przeżyciem. Czasem ono przypomina siedmioipółgodzinną przeprawę przez deszcz i błoto, czasem hipnotycznie narkotyczny seans, od którego czacha dymi, albo tryumfem na miarę wygranej bitwy. Zdarzają się jednak wypadki. Burza tuż po wejściu do klasy i rzucanie gromami we wszystko co się rusza. Nieporozumienia i wzajemne zatracenie sensu w rozmowach, co ma bolesne konsekwencje. Nagły wybuch długo tłumionych emocji, gdy nagle zostaliśmy postawieni na krawędzi. Ale to jest życie, czyż nie?

Zdaję sobie doskonale sprawę, że byłem daleki od idealnego ucznia. Nadal zalegam z kilkoma pracami domowymi. Jestem, byłem i będę często niesubordynowany, złośliwy, trochę leniwy czy też "wiedzący lepiej". Nie zamierzam mówić, że mam swoje jakieś zalety, bo ci, którzy mnie dobrze znają, wiedzą o tym. A jako że dojrzały ludzie, za jakich się uważamy, potrafią wybaczać i przyznawać się do błędów, oraz wolą wspominać szczęśliwe chwile, to myślę, że reszta nasuwa się sama.

W zasadzie nie będę tęsknić. Z drobnymi wyjątkami. Osoby, które czegoś mnie nauczyły, się do nich zaliczają. W zamian postaram się nie zapomnieć o żadnej z lekcji.

Dziękuję za wszystko.

Do Czasu

Wielu z nas w swoich ostatnich tekstach, niczym Dewey Cox przed ostatnim występem, wspomina całe swoje życie. Przypomina sobie to, co najlepsze, najgorsze, największe, najmniejsze, itp. itd. To już stało się dawno do bólu żelowożalowym cliché i ciężko znaleźć jakąkolwiek nową formułę. Najlepsi i najgorsi próbowali przeróżne sposoby. Cytowaniem wielkich, autocytowaniem, retrospekcjami, "Nie płacz, Ewka", "Stairway to Heaven", "Breath Me", yada, yada, yada. Można by napisać o tym książkę. Jedno jest natomiast niezmiennie. Zawsze musimy zadać sobie pytanie, co się zmieniło przez ten czas.

Oczywiście, są tacy, którzy się tym nie przejmują. Zarówno im tego zazdroścę, jak i gardzę takim zachowaniem. Z jednej strony, jak można się tym nie przejmować. Z drugiej, nie wszyscy są walnięci na tym punkcie. I mogę w tym momencie, jak wielu przed, ze i po mnie zacząć wymieniać przeżycia, jakie zaszły w ciągu ostatnich lat. Nie oczekujemy jednak skutecznej przemiany i dojrzałości, bo życie rzadko kiedy przypomina hollywoodzką produkcję trzymającą się schematu Campbella. Jeśli mam być szczery, to nie sądzę bym po 12 latach nauczył się czegokolwiek

Jesteśmy jedynie kulkami puszczoneymi w ruch w gigantycznym Pinballu, które zderzają się ze sobą i odbijają od flipperów, aż wylądają na dnie, ewentualnie narządami do przeszczepu w organizmie społecznym. Tym zawsze byliśmy od początku, zanim zaczęliśmy pierwszą klasę podstawówki. Kolejne wypadki, zdarzenia, z którymi musieliśmy się do tej pory mierzyć, miały nas przygotować do dorosłego życia. W efekcie ciągle spotykamy kolejne odmiany tych samych stałych. A nasze reakcje są zawsze podobne. Pod wieloma względami jesteśmy tacy sami jak na początku. Różni się jedynie bagaż doświadczeń. Jak bardzo on na nas wpływa? Na to nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Czas wciąż płynie. Kolejni ludzie i miejsca odchodzą i przychodzą. Niektóre pragnienia nie

zmieniają, jednak w wielu przypadkach latarnia morska pozostaje nieosiągalna, jak i sens. Zabrzmie to jak kolejny banał z notatnika pełnego złotych rad zapisanych srebrnymi literami, ale bogactwo i piękno leży w przeżyciu chwili, nawet jeśli nic z nich może nie wyniknąć, a postęp będzie znikomy. Nie wolę i nie chcę, by moje życie dyktował odgórny dogmat. Lepiej, bym miał tę odpowiedzialność i możliwość ciągłego próbowania, nawet jeśli jestem skazany na ciągłą porażkę i brak lekcji. Zdecydowałem się na przeżycie kolejnych wydarzeń. Raczej nie zapomnę niczego. Ale zamiast natychmiastowej przemiany i zapomnienia przeszłości (move on), pójdę dalej (move forward).

Do Wszystkich

Ostatnia część się zaczyna. Myślę, że chciałaby być przemową Churchila, ale bliżej jej do przemyśleń Johna Doriana (co nadal jest zaletą). Pisałem ten tekst długo, bardzo długo. Zastanawiałem usilnie się, co ma w nim znaleźć. Poniżej znajduje się to, co oryginalnie miało się znaleźć w zakończeniu (i możliwe, że tak to powinno się skończyć):

„Przyszłości nie wygrywa się poprzez zdobyte tytuły, pozycję społeczną czy wykonywany zawód. Nie istnieją one bowiem bez nauczanej wiedzy, umiejętności i wyborów, jakich podjęliśmy. Cokolwiek zdarzyło się przez te dwanaście lat, a zwłaszcza ostatnie trzy, nie należy traktować w kategoriach zarówno porażki jak i sukcesu. Należy się jednak spodziewać, że stanowiło to zapowiedź przyszłego życia. Powinniśmy zatem iść dalej. Mieć odwagę przekroczyć próg. Nigdy przestać, poddać się. Choćby świat trawiła wojna, kataklizm lub zaraza. Choćby legło nieodwracalnie w gruzach życie nasze lub innych. Choćbyśmy mieli postąpić wbrew woli własnej lub innych, zerwać z narzuconymi więzami, czy też naruszyć ustalone bezpieczne status quo. W najczarniejszej dla nas godzinie miejmy siłę życiową, by iść dalej i nie poddać się.

Gdy przyjdzie czas, przejmujemy rolę poprzedniego pokolenia i dostaniemy od nich świat, zrobimy co możemy, by pozostawić go po sobie lepszym niż zastaliśmy. Nie pozwólmy się pochłonąć przez dzielące nas hedonizm, egoizm oraz cyniczną nienawiść. Pozostańmy ludźmi, zdecydujemy się zatem na rozwagę, życzliwość i poszerzenie swoich horyzontów poza urojoną strefę komfortu.

To w nas teraz leży olbrzymia odpowiedzialność, bo to od naszych wyborów zależeć będzie tylko nasze życie, ale i przyszłość całego świata utworzona z kolejnych łańcuchów przyczynowo-skutkowych. Tylko my możemy utworzyć nowy świat dla naszych następców i zadbać o zapamiętaniu starego. Bądźmy zatem dorośli, by móc podjąć tę rolę.”

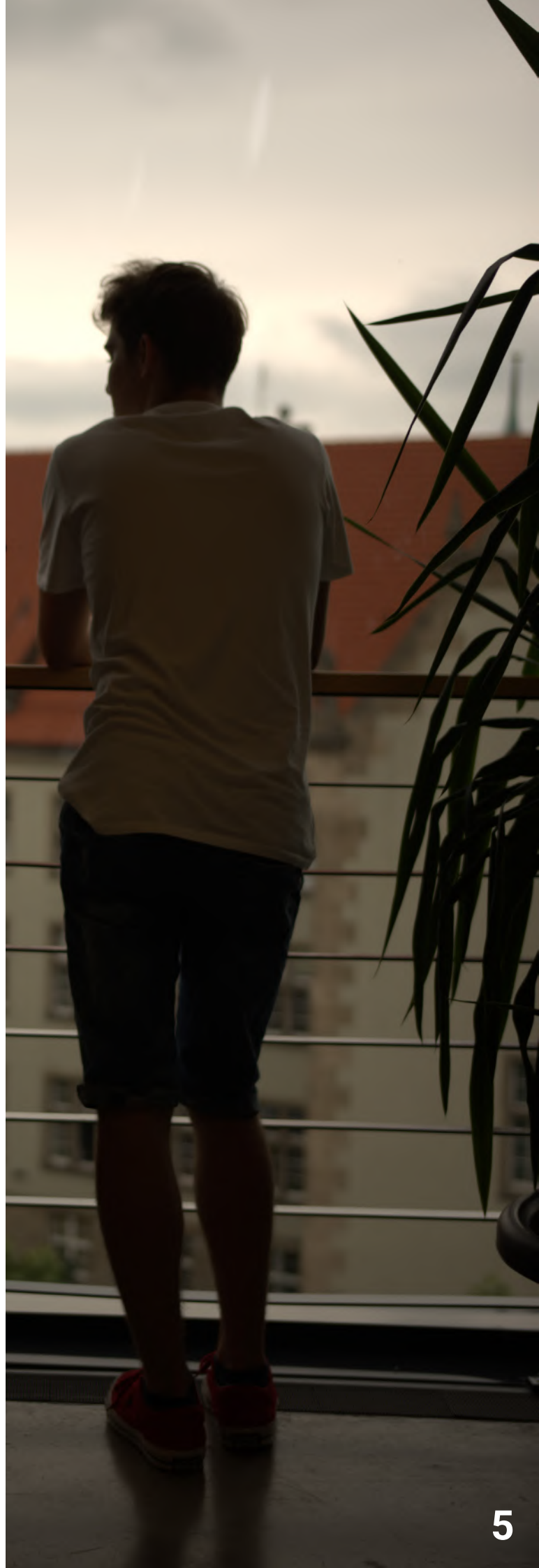
Kiedy to pisałem, miałem na uwadze ostatnie wydarzenia, co wydaje się klarowne, jak przestania niejednego dzieła oraz zamiary, które zamierzałem powyższym tekstem osiągnąć. Prawdopodobnie to najlepsze, co mogłem wymyślić, ale zależało mi, by było o wiele mniej pompatyczne, bardziej oryginalne i skromniejsze. I tak jak zawsze, nic nie wyszło zgodnie z planem.

Dlatego skorzystam i przypomnę, jedną z najważniejszych i najczęściej powtarzanych lekcji. To co było, stało się i się nie odstanie. Nad wpływami losu i przypadkiem także nie mamy wpływu. Żyć dalej, jak najlepiej i współistnienie z innymi - nie zaszkodzi.

Nie pozostaje mi nic innego, jak się po raz ostatni Was pożegnać. Jeśli będziecie mnie potrzebować, będę wciąż zarówno tu, jak i gdzie indziej.

Tekst skończony. Goodbye. Farawell. And Amen.

KACPER KOWALSKI – 3 A



Być jak Elon...

Wstawiasz głupie tweety, palisz marihuanę podczas wywiadu, nazywasz własnego syna A-12 (dosłownie!), podczas pokazu przypadkiem rozbijasz szybę samochodu, jednocześnie wstawiając (znowu!) nieprzemyślane tweety. Przede wszystkim jednak jesteś dyrektorem wykonawczym dwóch ogromnych firm. Może to tak wygląda codzienność redaktora naczelnego „Politechnika Juniora”? W końcu to trochę taki CEO, prawda?

Nadzieja umiera ostatnia

Pożyjemy, zobaczymy. Cała sytuacja wynika z faktu zakończenia edukacji przez Kacpra Kowalskiego, naszego poprzedniego redaktora naczelnego. Dzięki swoim wnikliwym i niezwykle trafnym tekstom wzniosł nasz periodyk na intelektualne wyżyny, stosownie zresztą dla przysłowiowej „elity”. Zatem za całkiem sensownie uznano mianowanie jego następcy. I oto jestem, elito. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują jednak, że do Elona Muska nieco mi zabraknie, ale w końcu trzeba iść na całość.

Słowo o wyznaczaniu celów

Przyjęło się, że poważne jednostki wyznaczają swoje cele kategoriami SMART. To jeden z tych akronimów, które, łącząc kilka rzeczy, mają ułatwić ich zapamiętanie, ale osiągają zgoła przeciwny efekt (tak jak np. ADEK). Poważne jednostki to na przykład wymienieni dyrektorzy generalni, więc redaktorzy naczelni zapewne również mogą pójść tą drogą.

Mądrze

Mowa o tym, że każdy wyznaczony cel musi spełniać ściśle określone kryteria: być Skonkretyzowany, Mierzalny, Osiągalny, Istotny i Określony w czasie. Wracamy do punktu wyjścia, ale po angielsku pierwsze litery tworzą właśnie akronim SMART. Cele wyznaczone tymi kategoriami znacznie łatwiej realizować – głównie dlatego, że wiemy, kiedy je osiągniemy. Mając to na uwadze, przedstawiam Wam moje cele jako nowego redaktora naczelnego „Politechnika Juniora”. Przy okazji zwróćcie uwagę na elementy SMART, z pewnością możecie wykorzystać tę technikę również we własnym, niegazetkowym życiu.

Cel: wzrost popularności „Politechnika” o 200 % w ciągu roku

Wierzę, że to moje priorytetowe zadanie jako redaktora naczelnego. Jasne, możemy się spotykać, rozmawiać, planować rewolucję, pisać 10-stronicowe artykuły, nawet walczyć o papierowe egzemplarze. Ale jeśli przeczyta to 19 osób to i tak... skończymy w Ciemnej Całce. Piszemy po to, żeby czytelnik wyciągnął z tekstu jakieś wnioski, a najlepiej – podjął działanie, a tak mi się przynajmniej wydaje. Bez czytelnika nie ma gazetki – tak jak bez snu i sportu nie ma nauki. Dlatego bez wątpienia jest to cel Istotny.

Licznik start!

Z mierzalnością tego celu, nie ukrywajmy, był problem. To nie „Onet” i nie za bardzo miałem możliwość zliczać czytelników. Ale już po problemie! Dzięki wsparciu Łukasza Świszca (twórcy naszej szkolnej strony) od teraz każde pobranie internetowej gazetki powiększa licznik odczytań danego numeru. A ten widoczny jest publicznie, więc razem ze mną możecie obserwować postępy w realizacji tego celu. W końcu zmierzyć - to już połowicznie zwyciężyć.

Cel: rozpoczęcie wysyłki mailowych powiadomień do września

Wszyscy wiemy, jak jest. Wychodzi nowy, lśniący egzemplarz gazetki, materiał jest ekscytujący, ale akurat uczycie się na sprawdzian z EDB. W gorączce nauki post pani Kasi ze strony szkoły na Facebooku Wam umknął. Chcę, żebyście mimo wszystko mogli być na bieżąco – dlatego, jeśli konsultacje z Decydentami przebiegną pomyślnie, niedługo każdy numer wyślemy Wam także emailem, na szkolną skrzynkę. To tylko raz w miesiącu, a wrażenia z lektury są niezapomniane – w końcu dowiecie się, czemu szczury śmieją się do sera.

Cel: średnio jeden „techniczny” artykuł na numer do końca kadencji

Nie mam żadnych zastrzeżeń do typowo humanistycznych artykułów. Większość bardzo dobrze się czyta, niektóre psychologiczne teksty zaciękawiały nie tylko mnie. Musicie jednak zauważyć, że twórcy gazetki nie są reprezentatywną grupą uczniów. Dlatego chcę dawać możliwie techniczne teksty – jak Chińskie Podsumowanie Miesiąca albo seria o oprogramowaniu open-source. Wierzę, że każdy powinien znaleźć tu coś dla siebie. A jeśli czegoś brakuje – chętnie poczytamy czasem jakiś Twój tekst.

Cel: nagłówki w każdym moim tekście lub forma wywiadu

Skupienie się na ciągłym tekście czasem jest wysiłkiem. Dlatego deklaruję, że postaram się to Wam ułatwić i będę stosował nagłówki albo całkowicie nadawał tekstom formę wywiadu (jak ostatnio o wioślarstwie). Postaram się do tego przekonać też innych Szanownych Redaktorów.

Cel: wyeliminowanie losowych łączników w środku wyrazów

Jeśli już mowa o wygodzie czytania, to oko perfekjonisty nie mogło tego przegapić. Nie potrzeba nawet dodatkowego komentarza. Wydaje mi się, że nie jest to prob-

lem nie do przejścia dla naszych technicznych redaktorów i wskazane byłoby jego usunięcie.

Cel: poprawne używanie słów „liczba” oraz „ilość”

Po czterech latach świetnej matematyki, kiedy widzę wyrażenie pokroju „ilości punktów”, odczuwam coś w rodzaju odruchu wymiotnego. Nie chcę być nawiedzonym purystą językowym, ale poprawne używanie tych wyrazów jest o tyle kluczowe, że uczniowie ALO stosują je najzwyczajniej częściej niż zwykli śmiertelnicy. Nawet mi raz zdarzyło się na łamach „Politechnika” zgrzeszyć „ilością kalorii”. Dlatego razem z resztą redaktorów podwójnie skupimy się, jeśli będziemy ich używać – „liczba” do policzalnych, „ilość” do niepoliczalnych.

Co teraz?

Poważni ludzie wyznaczają niewielką liczbę celów, które są piekielnie istotne – jak załogowy lot na Marsa w 2022. Analogicznie jest w tym przypadku. Teraz mi, razem z resztą Zespołu, pozostaje ich realizacja.

Czytajcie artykuły, jeśli chcecie – piszcie własne, a przede wszystkim zostańcie z nami – to dopiero początek.

MAKSYMILIAN SKICA – 1 C



Musisz mieć własną stronę!

Współcześnie nasz wizerunek w internecie bardziej niż kiedykolwiek ma wpływ na decyzje innych ludzi - szczególnie te dotyczące zatrudnienia. Nie mam na myśli nawet trwającej epidemii, ale realia świata, w jakim żyjemy - nie ma w tym zresztą nic dziwnego. O ile niektórym wystarcza Instagram albo LinkedIn, istnieje o rząd wielkości lepsza alternatywa.

Co jest nie tak z serwisami społecznościowymi?

Większość ich problemów wynika bezpośrednio z prostego faktu: nasze treści zmieniają właściciela. Abstrahując od prawa autorskiego, posty wrzucone na Facebooka znajdują się na serwerach Facebooka i za nie za bardzo mamy wpływ na to, co będzie dalej.

W jaki sposób będą prezentowane? Nie wiemy – platforma może je wyświetlać, jak chce, a my nie mamy nad tym kontroli. W jakiej kolejności? Nie wiemy. Komu? Nie wiemy – możemy ograniczyć odbiorców np. do znajomych, ale finalnie tajemniczy algorytm zadecyduje, kto posta zobaczy i w którym miejscu. Co stanie się, gdy Facebook upadnie? Zgadza się, nie wiemy. Przemilczę też liczne problemy z prywatnością i arbitralnym moderowaniem treści.

W przypadku poważniejszych profili, problemy tylko się pogarszają – w przeszłości byliśmy świadkami licznych zmian algorytmów, które z dnia na dzień drastycznie obcinały zasięgi popularnych facebookowych stron.

Na ratunek – własna strona

Powiedzieć, że stworzenie własnej strony o sobie rozwiązuje większość niewygodnych problemów mediów społecznościowych to tak... jakby nie powiedzieć nic. Ale zgadza się – mamy całkowitą kontrolę nad naszymi treściami i sposobem, w jaki są prezentowane odbiorcy. Amerykańska korporacja nie robi z naszych danych biznesu, ale to tylko początek góry lodowej.

Po co?

Wydawałoby się, że to jakiś zwariowany pomysł. „Kto tak robi? Nie lepiej założyć LinkedIna?”

- mruzcycie pod nosem. Jest to jednak proceder zachodzący na szeroką skalę, a internet zapełnia się ogromną liczbą stron personalnych. Często to blogi z symboliczną liczbą artykułów, ale zazwyczaj cel jest jeden – zebranie naszych wartościowych treści w jedno miejsce.

Ctrl+F „praca”

Posiadanie takiej domeny jest szczególnie przydatne, jeśli akurat jesteśmy zainteresowani zdobyciem jakiegoś doświadczenia zawodowego (albo gotówki). Często nadaje się im formę CV, które bardziej przemawia do potencjalnego pracodawcy niż celuloza zadrukowana zbyt długą pełną nazwą skończonej szkoły.

Generalna zasada jest według mnie taka, że jeśli zajmujecie się tworzeniem jakichś treści (blogger? pisarz? copywriter?) albo pracą mocno związaną z nowymi technologiami (programista? devops? aktywny? designer UX?) to jest to zdecydowanie wskazane.

Poważnie wyglądający mail

Voldemort.avada_kedavra@gmail.com albo bananowy-orangutan@spoko.pl, z kimkolwiek byśmy nie mailowali, nie brzmi zbyt przekonująco. Ciągłe zdarzają mi się sytuacje, w których trochę bym się zażenował, gdyby odbiorca maila wyobraził sobie mnie jako beznosą, owłosioną małpę. Myślę np. o kupujących na Allegro, lekarzu, obsłudze klienta z NFM-u i milionach innych ludzi, nie wspominając nawet o potencjalnym pracodawcy. Ale z własną stroną to może być tak proste jak maksymilian@skica.dev albo mikolaj@rodkiewi.cz.

Catch-all

Wspominając już o mailu we własnej domenie, nie można pominąć możliwości zastosowania tzw. catch-alla – rozwiązania, które pozwala na odbiór wszystkich maili z naszej domeny, niezależnie na jaki adres (xxxxxxx@skica.dev) zostały wysłane. Dzięki temu stosuję osobny adres do każdego serwisu, w którym tworzę konto, a maile trafiają do mojej jednej skrzynki, odpowiednio otagowane. To oszczędza mi niewyobrażalne ilości czasu - kiedy zaczynam dostawać SPAM, automatycznie przerywam maile z tego-serwisu-ktory-tylko-spamuje@skica.dev do kosza.

Domena-matka

W moim przypadku tak naprawdę wcale nie chodzi o zziębniętą stronę główną ze śmiesznym zdjęciem i kilkoma odsyłaczami. Skica.dev funkcjonuje jako domena-matka dla wielu moich projektów i projekcików. Nie muszę pamiętać adresów IP wszystkich serwerów, bo dzięki niej 255.243.234.128 zamienia się w serwer1.skica.dev. Nie muszę wpisywać nazwa-nowej-super-apki.herokuapp.com, teraz to już tylko nazwa.skica.dev. Chociaż obiektywnie niewiele osób ma podobne problemy, w moim przypadku piekielnie ułatwia to życie.

Do dzieła!

W dzisiejszych czasach koszt posiadania własnej strony są właściwie pomijalne. Dzięki rozwojowi technologii niezbędne usługi są praktycznie zawsze oferowane bezpłatnie. Wierzę, że kilkadziesiąt minut poświęconych na założenie własnego miejsca w sieci to jedna z najlepszych inwestycji w siebie i swoją markę, którą możecie podjąć w tym momencie. Szczególnie w czasie kwarantanny.

MAKSYMILIAN SKICA – 1 C



HOT16 CHALLENGE... 2

1 września 2014. Raper Solar wrzuca na kanał SB Maffija 2-minutowy filmik, w którym przedstawia swoim słuchaczom pomysł na wyzwanie inspirowane bardzo popularnym w tym czasie Ice Bucket Challenge. Akcję nazywa „hot16 challenge”, a całość polega na tym, żeby napisać 16 wersów i nagrać je do kamerki w wybranej przez siebie konwencji. Następnie, wzorem Ice Bucket, nominować osoby, które mają w ciągu 72 godzin odpowiedzieć swoją „szesnastką” i puścić akcję dalej.

ALE PO CO O TYM WSPOMINAM?

Ano dlatego, że po niecałych 6 latach, 28 kwietnia 2020 roku, Solar z zaskoczenia wrzucił na kanał SBM nowy film z hasztagiem #Hot16Challenge2. Przy dużo lepszym obrazie i dźwięku, po kultowym „kamera POSZŁAAA” reanimował wyzwanie z 2014 roku. Zasady nie uległy zmianie, za to okoliczności owszem, ponieważ cała zabawa nie jest już tylko zabawą. Akcja przybrała charakter charytatywny – Solar na stronie siepomaga.pl utworzył zbiórkę, z której pieniądze pójdą na pomoc dla służby zdrowia. Po szybkiej nawijce raper oczywiście nominował kolegów po fachu – Taco Hemingwaya, Bedoesa, Białasa, Matę. Następnie jednak rzucił jeszcze nominację zagraniczną, czego nie było w poprzedniej edycji hot16. Nominowany został Mike Posner, znany z hitu „I Took a Pill in Ibiza”. Mimo to na razie wyglądało na to, że akcja nie miała różnić się od swojego pierwowzoru sprzed 6 lat.



DOPÓKI NIE ODPOWIEDZIAŁ TACO

Hemingway po krótkim „dobry wieczór” nawinął bez zarzutu, po czym przyszła kolej na jego nominacje. Raperzy Łona, Krzy Krzysztof – bez zaskoczenia. Następnie poszedł Lanek – ciekawe, bo w końcu Lanek znany jest jako producent, nie jako raper. Czwartą nominację zgarnął „największy rapowy boysband”, czyli Taconafide – ludzie żartowali, że Taco tak się spodobało, że chciał nagrać jeszcze coś. Aż w końcu przyszła pora na nominację numer 5. A tam ... słowami Taco, „pradziadek tego rapgówna”.



KLOCUCH

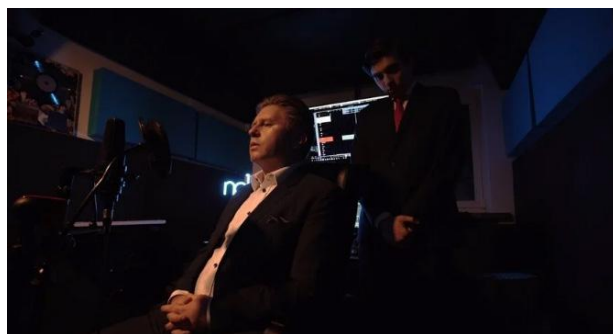
Tak. Ten Klocuch. Ten od „kruci gang”, „aezakmi” i innych hitów. Youtuber mówiący głosem podwyższonym o dwie oktawy, będący na tej platformie od 2010 roku. Właśnie on dostał nominację od jednego z najpopularniejszych raperów w Polsce.

No więc co z tym zrobić? Odpowiedział. Oczywiście, że tak. Szybciej niż prawie większość nominowanych przez Solara i Taco. A jego nominacje poszły do Norbiego, Rafała Brzozowskiego i (!) księdza Mateusza. Niestety odpowiedzi księdza się nie doczekaliśmy, jednak Norbi, podobnie jak Klocuch, odpowiedział błyskawicznie – w trzy godziny, jeśli się nie mylę (Brzozowskiemu zajęło to trochę dłużej, bo aż 5 dni). Nominował Tomasza Karolaka, Kubę Wojewódzkiego i Natalię Kukulską. Wojewódzki po jakimś czasie odpowiedział, chociaż ludzie w komentarzach pisali, że pomylił 16 wersów z 16 słowami. W każdym razie widzicie, gdzie to wszystko zmierzało. Prawdopodobnie nie tam, gdzie z początku myślał Solar.



NO ALE WTEDY POJAWIŁ SIĘ ...

... Gonciarz. Krzysztof Gonciarz, ten od m.in. „Zapytaj Beczkę” i vlogów. Co prawda bez nominacji, o co niektórzy mieli do niego pretensje, ale faktem jest, że trochę uratował sytuację. Wystartował z nową odmianą wyzwania, a nazwał ją „brzydka16challenge”. Akcja była przeznaczona dla ludzi „bez skilla”, którzy chcieliby jednak wziąć udział w wyzwaniu, a jednocześnie nie śmieć oryginalnego hasztaga nagraniami o dość... słabej jakości. „Szesnastka” Gonciarza rapu zbytnio nie przypominała, a raczej czytanie tekstu do muzyki, a jednak idealnie odzwierciedlała to, co miała przedstawiać „brzydka16”. Od Krzysztofa nominacje poszły do Awięca, Gimpera oraz Malika Montany (XD). Nominowani (pewnie nie licząc Malika) zgodzili się wcześniej na udział w wyzwaniu, czego nie można powiedzieć o wielu youtuberach. Jeśli wierzyć słowom Wargi z kanału zDupy, większość się na Gonciarza trochę obrażała za sam pomysł zaliczenia ich do ludzi „nierapujących”. Zresztą Warga, podobnie jak Gonciarz, nagrali po dwie szesnastki – obaj zostali później nominowani do oryginalnego hot16.



A TAM TEŻ SIĘ DUŻO DZIEJE

Gdy to piszę, od filmu Solara minęły prawie dwa tygodnie, a w wyzwaniu wzięło udział 241 osób – przynajmniej tyle jest na oficjalnej playliście SBM. W tym czasie oryginalny challenge również zdążył skrócić w dość niespodziewaną stronę i wydarzyło się kilka ciekawych rzeczy. Okazało się, że opóźnienie Bedoesa było spowodowane tym, że chciał wrzucić swoją szesnastkę na większy kanał. Jednak przez sumę 7 000 dolarów, której ten kanał zażądał, raper postanowił przekazać te pieniądze na zbiórkę Solara. Z kolei Białas swoim nagraniem wsparł siedzącego w więzieniu Bonusa RPK, a swoje czekanie usprawiedliwił staraniami o jego odpowiedź. Taconafide, oprócz standardowych nominacji, zaprosili do akcji Dawida Podsiadłę, od którego akcja dalej poszła do chociażby Moniki Brodki czy Darii Zawiałów (obie odpowiedziały). Quebo zaczął chwalić się swoimi klockami LEGO. Mata nominował Snoop Dogga (powstał nawet fake news sugerujący, że raper naprawdę odpowiedział) i Borixona. Z kolei ten nominował chociażby tatę Maty – profesora Marcina Matczaka, który nagrał szesnastkę dość jasno wyrażającą jego poglądy. Na nominację odpowiedział także Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich. Kali w swoich wersach był wyraźnie sceptyczny wobec pandemii, a także poparł organizację Q-Anon. Vito B ambino zagrał na kubku od kawy, gdy w pokoju obok spało jego dziecko. Multi odniósł się wyraźnie do dość obraźliwego wersu Gonciarza i skrytykował jego wejście bez nominacji. Nominował także Tommy’ego Craze’a z Jet Crew – jakby nie patrzeć, jest to jedna z realnych szans na wyjście na cały świat. Do wyzwania dołączył też, bez nominacji, ale za to z aprobatą SBM, sklep x-kom, który rzucił rękawicę m.in. magazynowi Komputer Świat, ESL Polska, czy Marcinowi Polowi (który zresztą odpowiedział).

A JEŚLI MOWA O WEJŚCIACH BEZ NOMINACJI

No właśnie, bo mówiłem wcześniej o tym, że brzydka16 powstała po to, żeby nie śmiecić hasztaga niechcianymi nagraniami, jednak nawet ona polega na nominacjach. Tęde zarzucił raperom, że nie biorą udziału w akcji dlatego, że chcą pomagać, a także dlatego, żeby zdobyć rozgłos. I w sumie się z nim zgadzam, ale nie do końca uważam to za złą rzecz – szczególnie jeśli chodzi o mniejszych artystów, którzy wcześniej nie mieli za bardzo szansy wyjść z podziemia. Hot16 to może być dla nich szansa na pokazanie się światu. Ale... wszystko jest ok, jeżeli dostaną nominację. A nawet jeżeli nie dostaną, ale nikt ich za bardzo nie zna, albo, co lepsze, nagrywają naprawdę świetną szesnastkę, to może im być to wybaczone. Ale zdarzają się ludzie, którzy i tak mają np. koło 2 mln subskrypcji, ale i tak nagrywają szesnastkę bez nominacji. I jeśli ktoś jest zaznajomiony z tematem to wie, że mówię o Karolku. Szesnastkę nagrał może i nie najgorszą, to mu przyznam. Jednak całość przypominała wejście na cudzą imprezę i wypowiedzenie słów: „sorry za spóźnienie” (wzięte z komentarzy). Idealnie podsumował to Gimper w swoim nagraniu – nawiasem mówiąc naprawdę solidnym, które nadawałoby się nawet do normalnego hot16.

SŁOWEM PODSUMOWANIA

Nikt raczej nie podejrzewał, że druga edycja hot16 challenge tak się rozwinie – ale, według mnie, nie mogło pójść lepiej. Akcja trafiła prawdopodobnie do większości użytkowników internetu w Polsce i nie tylko, ponieważ wyzwanie zostało nagłośnione przez niektóre stacje informacyjne. Różnorodność gatunków i konwencji powoduje, że każdy znajdzie coś dla siebie. Jeśli chodzi o moje ulubione szesnastki, to wybrałbym Kartkiego z jego wiedźmińskimi klimatami, Taco, Focusa, którego tekst można czytać od przodu i od tyłu, Słonia, który oczywiście ani razu nie mrugnął oraz Klocucha (duh). Tym, którzy nie słyszeli o wyzwaniu, serdecznie polecam sprawdzić i oczywiście również zachęcam do wpłaty.

BARTOSZ KACZMAREK – 1 A



Breslau w dobie zagłady

Kiedy pod koniec roku 1944 zaczęto trafnie przewidywać, że niedługo Breslau znajdzie się na linii frontu wschodniego, w jednym z najważniejszych miast III Rzeszy wybuchła panika. Ludzie zaczęli w popłochu opuszczać swoje domy, zabierając na marsz śmierci w zimowym mrozie tyle, ile zmieści się na dziecięcym wózku. I choć od tragedii Festung Breslau minęło 75 lat, a jego historia wydaje się odległa – wrocławianie powinni wciąż o niej pamiętać.

Początek końca

Zanim klęska hitlerowskich Niemiec zaczęła zbliżać się wielkimi krokami, do Breslau przyjeżdżali mieszkańcy III Rzeszy uciekający przed frontem zachodnim. Miasto tętniło życiem, jakby wojna nigdy nie wybuchła: miejskie ogrody, zwane Établissements, dostarczały rozrywki, ukazywały się gazety, a breslauerzy chodzili do kin i teatrów.

Pod koniec roku 1944 we Wrocławiu przebywało około miliona osób. Ale Breslau nie miało prawa wciąż być spokojnym miastem, które jawiło się jako azyl. Ci, którzy nie wierzyli w propagandę i obserwowali front wschodni, z pewnością przewidzieli

nadchodzącą klęskę i wyjechali, zanim było już za późno.

W grudniu zaczęły się pierwsze bombardowania miasta, dlatego dowódcy obrony Wrocławia zwrócili się do gauleitera Schlesien, Karla Hankego, z prośbą o ewakuację kobiet i dzieci. Ten jednak zdecydowanie nakazał obronę do ostatniego człowieka. Zabronił przedwczesnego wymarszu cywili na zachód.

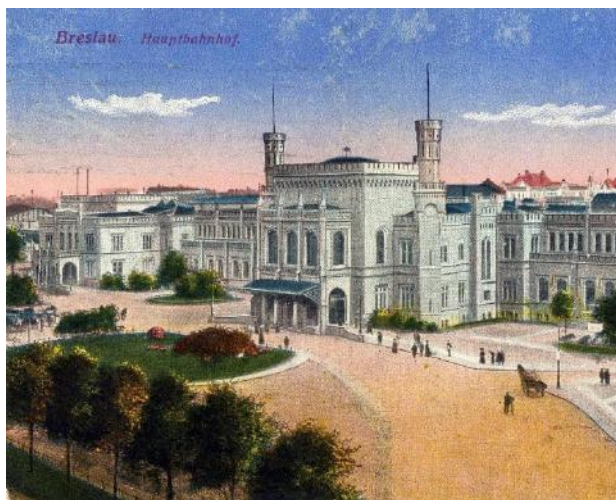
Kiedy bomby zniszczyły większość stacji i torów kolejowych wokół Breslau, wszyscy zrozumieli, co wkrótce się wydarzy: Wrocław miał się znaleźć na linii frontu wschodniego.



Ludzie, nie zważając na dwudziestostopniowy mróz, w panice zaczęli się pakować. To, czego nie mogli zabrać ze sobą, zakopywali w ogrodach, chowali w piwnicach i skrytkach, bądź zamurowywali pomieszczenia. W niezwykle zimnym styczniu z Breslau wyruszyli cywile. Najczęściej były to kobiety z dziećmi, a te często umierały podczas marszu. Ludzie śniali się na drodze z mrozu i głodu.

W Breslau zostali głównie nastolatki z Hitlerjugend, członkowie Volksturmu (ochotniczych wojsk złożonych z cywili), starcy i chorzy. Kiedy miasto zostało otoczone przez nieporadnie walczące, ale liczne wojska ukraińskie, stolicy Schlesien miało bronić 80 tysięcy niewyszkolonych żołnierzy.

Na początku lutego, miasto niegdyś potężne, kwitnące i ważne w III Rzeszy, z dumnego Breslau zostało przemianowane na Twierdzę Breslau. A to był dopiero początek końca.



Klęska nieunikniona

Wkrótce zaczęły się bombardowania Starego Miasta. Nieudolne oddziały niemieckie nie miały szans obronić obrzeży miasta i teren Wrocławia należący do Niemiec z każdym dniem się zawężał. Breslau miało zmienić się w stos zburzonych kamienic, palących się dniem i nocą. Zniszczone budynki znacznie łatwiej się broniło - wróg nie miał czego zdobywać ani gdzie wracać. To było dobrze zaplanowane samobójstwo.

Mimo utworzenia lotniska na gruzach placu Grunwaldzkiego, jeszcze wtedy Keisertaße, oraz mostu powietrznego nad III Rzeszą, którym dosyłano obrońcom miasta zapasy jedzenia i artylerii, szanse na zwycięstwo były coraz mniejsze. Z funkcji dowódcy Festung Breslau został zwolniony Hans von Alfhen - jego funkcję przejął Hermann Niehoff. Do konającego miasta przybył wspomniany wcześniej Karl Hanke, zagorzały zwolennik walk do ostatniego żołnierza. Klęska była nieunikniona. Na polecenie Stalina zaczęto ostrzeliwać Drezno, by ut-

rudnić Niemcom obronę Wrocławia. Breslau miało być zdobyte jeszcze wiosną 1945 roku.

Nawet gdy Adolf Hitler 30 kwietnia popełnił samobójstwo, żołnierze Volksturmu nie zaprzestali walk. Nie wierzyli w klęskę, zachowywali się jak w letargu. Nie docierały do nich wiadomości o zbliżającej się przegranej. Choćby dlatego, że Breslau było ich miastem, nie mieli zamiaru oddać go aliantom ani tym bardziej bezwarunkowo skapitulować, jak żądali Sowieci.

Niedługo później Hanke, który nakazał obronę do ostatniego człowieka, sam opuścił Breslau. W akcie odwagi odleciał ostatnim samolotem z placu Grunwaldzkiego do Zielonej Góry - a potem ślad po nim zaginął.

Ludzie popełniali zbiorowe samobójstwa. W popiołach Breslau pozostali Niehoff i nieliczni, którzy przeżyli oblężenie. Akt bezwarunkowej kapitulacji Festung Breslau podpisano 6 maja 1945 roku w willi Collonia na Krzykach, które są jedną z niewielu pozostałości po dawnym bogactwie i świetności obrzeży Wrocławia.

Rządzący, którzy jeszcze kilka lat temu chcieli podporządkować sobie świat, zostali postawieni przed faktem dokonanym: musieli bezwarunkowo skapitulować. Ich ambicje doprowadziły nie tylko do upadku III Rzeszy i nazizmu, ale też niewyobrażalnego dramatu setek tysięcy niemieckich cywilów, których hitlerowcy chcieli uczynić nadludźmi. W Jacie Wielka Trójka pozbawiła Niemiec wszystkich ziem na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej. Wśród nich znalazł się późniejszy Wrocław.



Popioły

Do końca lat 40. XX wieku można było powiedzieć, że stary Wrocław zniknął. Wbrew późniejszym pogłoskom, to właśnie on był najbardziej zniszczonym miastem III Rzeszy. Po pięknej przedwojennej zabudowie zostały jedynie dym, gruz i nieliczne kamienice, dziwacznie sterczące w ponurych pozostałościach świetnego niegdyś miasta. Nie było śladu po kamieniczkach przy placu Grunwaldzkim. Wśród nadpalonych drzew Südenparku tkwiły

mury zbombardowanej restauracji Haasego. Po kilku latach zniknęły ściany i zbiory Muzeum Śląskiego, a z pałacu Hatzfeldów zostały tylko dwie kolumny. W Lesie Osobowickim spacerowicze nieustannie natykają się na resztki wysadzonej wieży widokowej cesarza Wilhelma II. Établissement Friebeberg zniknęło, a w jego miejscu pojawił się biurowiec. Zamiast krzyży, na dawnym cmentarzu rosną drzewa. Wrocław to zupełnie inne miasto niż Breslau, a to, czym dziś są resztki przedwojennej zabudowy, to jedynie popioły ogniska, które dogasa.

To był koniec pewnej epoki, która nie miała nigdy wrócić. W przyszłych dekadach rozebrano część ocalałych kamienic i zabytków tylko dlatego, że przypominały o latach wojny.

Mówi się, że Breslau było ostatnią, najdłuższą broniącą się twierdzą Hitlera. Ale już nieoczywista jest sprawa zniknięcia jej złota.



Brak odpowiedzi

Cofnijmy się do czasów, gdy Wrocław nie był obrazem nędzy i rozpacz, ale bogatym miastem. Po Nocy Kryształowej w listopadzie 1938 roku, kiedy rozpoczął się pogrom Żydów w całych Niemczech, większość zamieszkiwanych przez nich kamienic opustoszała. Szkło z potłuczonych okien zasłało ulice miasta niczym dywan kłujący bolesnymi wspomnieniami. Jeszcze następnego dnia płonąła Nowa Synagoga na Wygonie, druga największa w III Rzeszy po tej berlińskiej. Breslau było przed i w czasie wojny miastem bardzo wspierającym Hitlera, więc przy choć małej znajomości holocaustu możemy się domyślać, co spotkało wyeksmitowanych wrocławskich Żydów.

Żydzi, niegdyś właściciele fabryk, sklepów i dużych majątków, byli zmuszeni do opuszczenia domów i zostali pozbawieni własności. Bogato urządzone mieszkania, pełne złotych świeczników, obrazów i biżuterii - to wszystko stało się niczyje. Ale nie na długo. Majątkami Żydów zajęły się władze ówczesnych Niemiec. Złoto trafiło do dobrze strzeżonych miejsc, w których przetrwało do czasów Festung Breslau. Bogactwo miało nigdy nie trafić w ręce starych właścicieli.

Jeszcze przed oblężeniem i marszem śmierci, banki, w których breslauerzy przechowywali swoje oszczędności, przestały być miejscem bezpiecznym. Drogocенności pożydowskie, jak i te niemieckie, żołnierze hitlerowscy włożyli do 23 metalowych skrzyń. Z początku przebywały one w piwnicach Polizeipräsidium (dziś Komenda Główna Policji) przy ulicy Podwale. Gdy na Dworzec Główny sprowadzono pociąg, skrzynie zostały zamknięte w wagonach pancernika. Ten rozpląnął się w Górach Sowich, w których pod ziemią ciągną się korytarze Kompleksu Riese. Może to właśnie tam zatrzymał się pociąg z poszukiwanym od lat złotem Wrocławia? A może od dawna już go tam nie ma? Chyba już nigdy nie uzyskamy odpowiedzi na te pytania. A co, jeśli to brak odpowiedzi jest odpowiedzią?

Wszystkie marzenia Breslau

Wszyscy dawni mieszkańcy miasta wierzyli, że, gdy wojna się skończy, Breslau wciąż będzie należało do Niemiec. Za kilka miesięcy wrócą na chwilowo zajęte tereny, nie zmienią się nazwy ulic ani właściciele sklepów. Jednak domy, które przetrwały, stały się spadkobiercami pierwszych listów miłosnych, rodzinnych zdjęć, filizanek i zasuszonych kwiatów. Breslauerzy, którzy wrócili tam kilkadziesiąt lat po wojnie, być może nawet nie znaleźli swoich kamienic. W większości zostały wyburzone, a z nimi pogrzebano nadzieje na znalezienie skrytek z pamiątkami. Takie powroty mogły uświadomić tylko jedno - że marzenia wszystkich tych ludzi, którzy niegdyś nazywali się breslauerami, odeszły bezpowrotnie. I że w sumie przez cały ten czas tęsknili do miasta, które już nie istniało. To było wybudzenie z pięknego snu - Breslau przeszło do historii.

Być może breslauerzy znaleźli swoje nowe miejsce na ziemi, tak jak lwowiacy zadomowili się we Wrocławiu? Na pewno wciąż przyjeżdżają, odwiedzają swój dawny dom. Widok niemieckich emerytów spacerujących uliczkami Starego Miasta nie jest w końcu rzadkością. Kto wie, być może niektórzy z nich to ci, którzy jako małe dzieci wyruszyli na mrozie na zachód?

Pisząc ten tekst, odczuwałam sprzeczne emocje. Członkowie narodu, którego przywódcy doprowadzili do wybuchu wojny, stali się na moich oczach ofiarą. Leon Kruczkowski powiedział w "Niemcach": "Nikt nie jest bez winy", a John Boyne w "Chłopcu w pasiastej piżamie" stwierdził, że nawet rodziny hitlerowców cierpiały w tych okropnych czasach. Nie umiem jednoznacznie ocenić sprawy Festung Breslau. Nie wiem, czy ktokolwiek by umiał.

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 1 A

Garbus w Twoim wnętrzu...

Nienaganne maniery, atrakcyjna aparycja, oczy błękitne bardziej niż samo niebo i zniewalający uśmiech... – jedna wielka maska skrywająca Garbusa; ni mniej, ni więcej tylko mrok szukający ujścia we władzy nad śmiercią i życiem.

BARDZO FAJNIE, ALE O CO (TYM RAZEM!) CHODZI?

Ted Bundy jest jednym z najbardziej znanych seryjnych morderców, a jego dokonania są przerażające i nie chodzi nawet o okrucieństwo zadanych przez niego krzywd czy ogrom cierpienia oraz śmierci, których przysporzył, ale o to, że stał się swego rodzaju duchem. Mężczyzna był w stanie spokojnie wślizgnąć się do cudzego domu, zgwałcić swoją ofiarę i albo ją zamordować, albo wynieść tak dyskretnie, że pozostali domownicy nie byli w stanie zauważyć, że w ogóle dzieje się coś bardziej niepokojącego niż irytujący koci koncert na lokalnym płocie. Dodatkowo, był on całkiem dobrze zorientowany w sposobie funkcjonowania policji w poszczególnych stanach i (braku) utrzymywania kontaktu pomiędzy nimi. Stąd jego strategia dokonywania kilku zbrodni w jednym miejscu, by niedługo potem przenieść się gdzie indziej, działała cuda. Zaatakowane stany (a niekiedy nawet niedalekie miejscowości) nie miały zielonego pojęcia, że szukają tego samego człowieka, przez co nie były w stanie połączyć ze sobą faktów i jedynie goniły w piątkę przez długie lata. A to jeszcze nie koniec...

NIEZWYKŁE SZCZĘŚCIE TAJEMNICZEGO TEDA

Po zniknięciu dwóch kobiet znad jeziora Sammamish policja miała do dyspozycji opis wyglądu i zachowania tajemniczego mężczyzny, zaczepiającego wszystkie atrakcyjne dziewczyny w okolicy i oferującego pomoc w doniesieniu czegoś do samochodu lub wzięcia udziału w spontanicznej wycieczce, a w dodatku wielu świadków słyszało, że przedstawia się jako Ted oraz widziało jego garbusa volkswagena. Nawet mimo tego, że Bundy był niezwykle podobny do portretu pamięciowego podejrzanego (ciekawe, czemu...), posiadał samochód

odpowiedniej marki, a w dodatku został zgłoszony przez własną narzeczoną – Liz Kendall, która zaczęła nabierać podejrzeń gdzieś w głębi swojej świadomości, policja nawet się nim nie zainteresowała, ale praktycznie od razu go odrzuciła. Co ciekawe, w dalszych etapach śledztwa jeszcze kilkakrotnie trafił na listę potencjalnych podejrzanych z powodu najróżniejszych czynników i ponownych zgłoszeń narzeczonej, ale za każdym razem udawało mu się wyjść z sytuacji bez drażnienia i świadomości, że w ogóle znalazł się na jakiejś liście!

ALEŻ ON JEST NIEWINNY!

Nawet po tym, gdy w końcu został zatrzymany i postawiony przed sądem, nikt nie mógł uwierzyć w jego winę. Co więcej, nawet gdy odsiadywał wyrok w więzieniu, zebrało się wokół niego grono szalonych psychofanek oraz znajomi, którzy obstawali przy tym, że jest czysty jak łąza i nawet udało mu się ożenić z jedną z jego koleżanek z przeszłości, która również gorliwie broniła go w mediach. Sam Ted nie zamierzał przyznać się do którejkolwiek ze swych zbrodni aż do kresu swych dni na tzw. Starej Iskierce. Uparcie powtarzał, że jest szlachetnym człowiekiem czystego serca i nigdy nie miał nic wspólnego z żadnym gwałtem, a te kilka ucieczek, których się dopuścił, spowodowane były pogodą zbyt piękną, by siedzieć w sądzie czy zakładzie karnym. Do końca nikt nie był w stanie wydusić z niego bezpośredniego przyznania się do winy. Dwóch dziennikarzy, których zatrudnił do napisania czegoś w rodzaju własnej biografii, spróbowało pójść inną drogą – rozmawiali z nim nie jako z winnym zarzucanych mu przestępstw, ale biegłym socjologiem, który miał zgłębić psychikę sprawcy okrutnych zbrodni. Wtedy Bundy właśnie zaczął mówić i zaznajomił swych rozmówców z Garbusem...

COŚ JEST NIE TAK...

Ted opowiadał, że domniemany morderca był swego czasu całkiem zwyczajnym chłopcem i miał się bardzo dobrze aż do momentu dorastania. Od najmłodszych lat czarował inteligencją i umiejętnością analitycznego myślenia, niespecjalnie dbając przy tym o relacje z kolegami z klasy; był raczej klasowym prymusem i wzorowym uczniem. Gdy jednak wszyscy zaczęli mieć po te kilkanaście lat, przysły morderca nagle stracił rezon – nie tyle nie zależało mu na kontaktach z innymi, ale całkowicie nie umiał się w nich odnaleźć. Zatrzymał się emocjonalnie na etapie dziesięcioletniego dziecka i inteligencja, która wcześniej była jego najlepszą przyjaciółką, stała się jedyną osłoną, mającą ukryć emocjonalne braki. Dodatkowo zaczęło się w nim budzić coś... dziwnego – złego, chłodnego niczym lód i żądnego krwi...

ZŁO SIĘ BUDZI

Potencjalny morderca „zapewne” (jak zawsze zapobiegawczo dodawał Ted) zaczął od raczenia się coraz to bardziej brutalną pornografią, potem przeszedł do podglądactwa, by w końcu skończyć na gwałcie i pierwszym morderstwie. Oczywiście, nie robił tego sam z siebie, ale cały czas sterował nim Garbus – istota, która początkowo w nim żyła jako osobne stworzenie, by w końcu połączyć się z jego duszą i sprowadzić go na niewłaściwą drogę. To właśnie on powodował, że błękitne oczy miały nagle stawać się czarne, uprzejmy głos przechodził w agresywny warkot, a morderca musiał czuć, że posiadał swą ofiarę na wieczny czas...

TO TKWI RÓWNIEŻ W TOBIE!

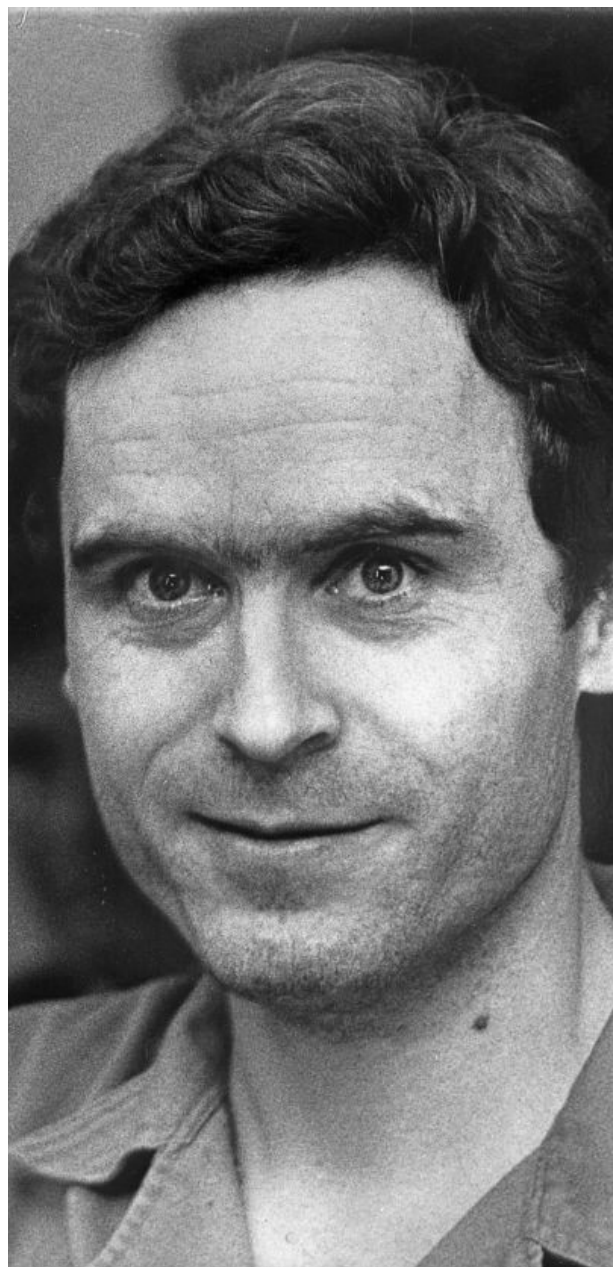
Ted zapowiedział, że podobna istota czai się w ich wnętrzach i tylko czeka, aż ją pożywią. Sam dobrze wiedział, jak łatwo przybrać nieprzeniknioną dla nikogo (nawet najbliższych osób) maskę ambitnego, wykształconego i dobrze ułożonego człowieka, który nigdy w życiu nie pomyślałby nawet o zabiciu muchy, a co dopiero młodej kobiety. Miał świadomość tego, jak dobrym aktorem może stać się każdy z nas i jak okropnego potwora może w sobie skrywać nawet niewinnie wyglądająca osoba.

Choć biegli lekarze doszli do wniosku, iż uraz psychiczny Teda najprawdopodobniej był spowodowany traumą z czasów trudnego dzieciństwa spędzonego u boku dziadków zaburzonych przez zespół maniakałny i nikt z nas nie wyjdzie sobie od tak na ulicę i nie zacznie nagle mordować ludzi, którzy mu się z jakiegoś powodu nie podobają, warto mimo wszystko spróbować wyciągnąć lekcję ze słów Bundy'ego.

Zawsze warto przypomnieć sobie, że każdy z nas jest... człowiekiem. Nie narodziliśmy się do-

brzy ani też źli do szpiku kości, ale zawsze możemy pójść w jedną lub drugą stronę. Może warto czasem zatrzymać się na chwilę i zastanowić, czy nasze życie faktycznie zmierza w dobrą stronę i czy postępujemy zgodnie z własnym sumieniem i moralnością. Czy jesteśmy ludźmi, z którymi sami chcielibyśmy się zadawać i mamy ochotę pogratulować sobie, gdy widzimy się w lustrze, czy może właśnie odnaleźliśmy, gdzieś głęboko w sobie, załączki Garbusa...

EMILIA RYNKIEWICZ – 1 A



Mniej znaczy więcej...

Tak... jedna z najślynniejszych zasad w wielu gatunkach muzycznych podkreślająca rolę prostoty w utworach. Oddziela grę „z emocjami” od gry bez nich, utwory doskonałe od przekombinowanych. Faktyczne kompozycje od zwykłych popisów na instrumencie, nieważne jakim. Ładnie to wszystko brzmi, prawda? Jednak, moim skromnym zdaniem, zasada ta nie do końca ma odbicie w rzeczywistości. A przynajmniej nie w takim kształcie, w jakim większość ludzi ją postrzega.

ALE O CO CHODZI?

Co właściwie ta zasada konkretnie przedstawia? To mianowicie, aby usunąć niepotrzebne elementy, zostawić tylko te niezbędne, stworzyć z nich fragment utworu – czy to wokalem, czy gitarą, czy perkusją. Bo niepotrzebne elementy są tylko Twoim popisywaniem się – skoro możesz, nie oznacza, że powinieneś! No i okej, jest to zdecydowanie droga do pisania utworów – zresztą naprawdę dobra, nie zrozumcie mnie źle. Na jej podstawie powstały legendarne partie gitarowe czy klawiszowe, oparte właśnie na prostej, acz skutecznej melodii. Jednak problem pojawia się, kiedy zasadę „less is more” traktuje się jako JEDYNĄ słuszną metodę pisania. A to prowadzi to sporów.

A GDZIE SIĘ ODBYWAJĄ TE SPORY?

W internecie, oczywiście - miejscu pełnym ekspertów na każdy temat. Ludzi, którzy będą do upadłego bronić swojego ukochanego artystę. Nawet jeżeli nikt o nim nie wspomniał, bo samą obrazą jest postawienie jakiegoś popisującego się „beztalencia” nad nim. I przytoczę tutaj jeden z najbardziej oczywistych chyba przykładów – David Gilmour. Żeby nie było, uwielbiam go. Uwielbiam Pink Floydów. Ale ich fanbase jest czasem nie do zniesienia. Gilmour jest zazwyczaj rzucający przeciwko fanom szybkich, technicznych gitarzystów takich jak Joe Satriani, Steve Vai, Jason Richardson. Padają zarzuty, że w przeciwieństwie do Gilmoura, ci gitarzyści nie mają żadnego talentu. Że wykonywany przez nich „bezmyślny shredding” go nie wymaga. I może Was zaskoczę, ale... z tym ostatnim częściowo się zgadzam. Uważam, że pisanie melodii takich jak Gilmour wymaga więcej talentu, niż błyskawiczne

przechodzenie po strunach à la Satriani. Jednak to drugie wymaga znacznie więcej tytanicznej pracy i przysłowiowego ćwiczenia 8 dni w tygodniu. Co dla kogo jest bardziej imponujące, jego sprawa. A ja...

... JA WYBIERAM OBA

Moim zdaniem, jeżeli ktoś potrafi w jednej partii napisać i zagrać piękną melodię oraz szybko przebiegi, to już to czyni go mistrzem swojego instrumentu. Jeżeli ktoś potrafi rapować niesamowicie szybko, ale także polecieć po oldschoolowym bicie – dla mnie to zdaje egzamin. Połączenie melodii i techniki to według mnie najlepsze co można wydobyć z muzyki. A po przykłady można pójść do tych, którzy byli wcześniej oskarżani o brak melodii. Steve Vai – „For the Love of God”. Zaczyna się piękną melodią i stopniowo, naturalnie przechodzi w niesamowity shred. John Petrucci z zespołu Dream Theater w „Another Day” – z pozoru prosta, krótka, choć piękna solówka uzupełniona o błyskawiczne przebiegi. I teraz nieco mniej oczywiste – „Comfortably Numb” Pink Floydów. Być może najślynniejsza solówka wszech czasów i główny argument obrońców zasady „less is more”. I owszem, jest stosunkowo prosta. Jednak i tam znajdują się stosunkowo szybkie (jak na tempo tego utworu) części, które nadają całej partii dynamiczności. „Stairway to Heaven”, w których solówka jakoś bardzo szybka nie jest, ale w słynną zasadę się zdecydowanie nie wpisuje. Jednak żaden szanujący się fan rocka i bluesa nie skrytykuje publicznie jednej z najlepszych solówek wszech czasów wykonanej przez jednego z najlepszych gitarzystów wszech czasów, przynajmniej według rankingów.

ŻEBY BYŁO SPRAWIEDLIWIE

Podkreślam, że nie chcę tutaj podważać umiejętności jakichkolwiek muzyków, którzy nie wpisują się w opisaną „fuzję”. Z tego co wiem, B. B. King nie ma zbyt dużo szybkich solówek (ale nie wiem jakoś dużo, więc nie bijcie), ale i tak uwielbiam to, co od niego słyszałem. „Wonderful Tonight” Claptona zawsze wywołuje u mnie dreszcze, a jest cały oparty na prostej partii gitarowej i jeszcze prostszej melodii wokalne. Perkusja AC/DC nigdy nie wyróżniała się specjalnie, ale człowiek siedzący za nią to żywy metronom, co nie jest takie proste, jak się wydaje. Z kolei wspomniany Jason Richardson rzadko kiedy decyduje się na bardziej melodyjne podejście do swoich solówek, jednak to, co on wyprawia na swojej gitarze, przechodzi ludzkie pojęcie. Mike Mangini, perkusista Dream Theater, jest często oskarżany o granie jak maszyna – ja uważam, że jest to nieprawda, bo maszyna mogłaby się od niego uczyć. Zarówno ci pierwsi, jak i ci drudzy mają niesamowity talent oraz włożyli niezwykle dużo serca i pracy w swoje muzyczne wykształcenie. I chociażby za to im wszystkim należy się szacunek.

KRÓTKIM SŁOWEM PODSUMOWANIA

Zasada „less is more” tak naprawdę jest niezwykle potrzebna i cenna przy pisaniu utworów. Niekiedy dobrze wykorzystane dwie nuty potrafią wywołać więcej emocji niż dwadzieścia. Jednak sam fakt użycia niewielu nut nie czyni napisanej partii dobrą, tak samo jak użycie ich mnóstwa nie czyni partii złą czy bez emocji. Nie trzeba lubić wszystkiego. Każdy ma swoje gusta. Ale nazwanie Steve’a Vaia beztalenciem, albo Carlosa Santanę słabym gitarzystą, to nie jest kwestia gustu, tylko zwyczajna ignorancja.

BARTOSZ KACZMAREK – 1 A

LESS
= MORE

Niebieskie malowanie

Oprócz tego, że na pl. Dominikańskim albo Grunwaldzkim często ogłasza się apokalipsę, prawdziwe katastrofy mają miejsce znacznie częściej niż można się tego spodziewać. I tak, oczywiście chodzi tu o (nie)zawodne wrocławskie tramwaje oraz ich sławne wykolejenia. W krótkim czasie słynne usterki na mieście czy to w deszczowy, czy słoneczny dzień, stały się obiektem drwin wrocławian. Nas, uczniów ALO, nie powinien dziwić widok wykolejonych tramwajów – jeszcze przed ogłoszeniem pandemii, w styczniowy poranek, most Grunwaldzki był zablokowany sznurem wagonów, po tym jak Ósemka postanowiła spłatać figla pasażerom. Pozostaje więc jedno pytanie – czy te sławne tramwajowe problemy to wymysł ostatniego roku, czy może tradycja naszego miasta, sięgająca... XIX wieku?

Z tym XIX wiekiem to żadna przesada. Wbrew pozorom, wykolejenia albo inne wypadki z udziałem tramwajów były bardzo częste, jednak nie z powodów technicznych. Głównymi przeszkodami na drodze okazywali się nieprzyzwyczajeni do „ulicznej kolei żelaznej” wrocławianie. Ale od początku.

Jeszcze żywe Beroliny

Być może kojarzycie taki tramwaj z dwoma wagonami, do połowy czerwony, a od góry kremowy? Wygląda wiekowo, jakby został wyjęty z innej epoki. To Jaś i Małgosia, tzw. Berolina. Poza tym, że to tak naprawdę jeżdżący zabytek, jest do tego unikatowy. Beroliny produkowano przez krótki

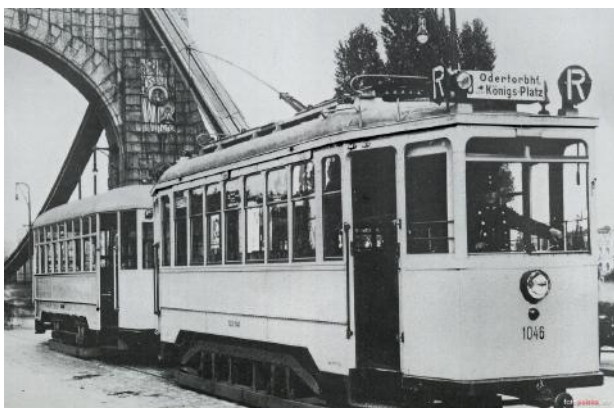
okres na przełomie XIX i XX, a używano ich jedynie w ówczesnym Breslau i Berlinie, stąd nazwa. Jeżdżących zabytków jest tak naprawdę więcej. Miłośnicy motoryzacji coraz częściej wykupują stare wagony, restaurują je, a potem znów wypuszczają na tory. Wtedy stają się tramwajami obwożącymi turystów – jak właśnie Jaś i Małgosia (imiona odziedziczone po kamienicznikach), Juliusz albo Baba Jaga. Wszystkie pochodzą jeszcze sprzed II wojny światowej i, tak jak większość starych tramwajów, były wyprodukowane w Breslau, w Linke-Hoffmann-Werke, czyli dzisiejszym Bombardierze. Zakład ten nie jest przypadkowy, bo to właśnie tam mieściło się kolejowe serce miasta. Na długo przed PaFaWagiem powstawały tam wagony kolejowe – a skoro kolejowe, to również te dla ulicznej kolei miejskiej.



Zanim nastał prąd

Jednak nie zawsze tramwaje były zasilane prądem. Zanim elektryczność stała się nieodłącznym elementem życia każdej metropolii, uliczna kolej żelaza miała napęd taki, jak każda dorożka. Była wyposażona w konie – najczęściej jutlandzkie (albo duńskie, jak kto woli), bo te się ponoć najbardziej nadawały.

Historia zaczyna się w 1876 roku, kiedy prezydent policji, baron von Uslar-Gleichen powierzył Buessingowi, berlińskiemu inżynierowi, zadanie zaprojektowania i zbudowania pierwszej, breslauerkiej linii tramwajowej z napędem konnym. Prace szły sprawnie i już w 1877 roku powstało połączenie z ul. Traugutta do terenów wystawowych na Szczytnikach. Mimo wszystko w porównaniu do innych niemieckich miast, Breslau nie spieszyło się z budową linii tramwajowych. W latach siedemdziesiątych XIX wieku miały je już inne niemieckie miasta, takie jak np. Stuttgart, Frankfurt i Wiesbaden.



Ci nieobcy breslauerzy

Wrocławskie tramwaje miały pomieścić maksymalnie trzydzieści osób. Breslauer Zeitung chwaliła przede wszystkim woźniców, którzy ponoć świetnie sobie radzili w nowej roli i sprawnie kierowali pojazdem. Z kolei pasażerowie zwracali uwagę na elegancję i gustowność, z jakimi wagony urządzone w środku. Próbną jazdą została zakończona sukcesem, a uroczystość otwarcia pierwszej linii tramwajowej zwieńczono uroczystym przyjęciem, które trwało cały dzień w jednej z restauracji przy zoo. Jednak Breslauer Morgenzeitung, kolejny dziennik, zaznaczyła w swoim tekście, że przeciwnicy ulicznej kolei żelaznej czekają na pierwszy wypadek, aby tramwaje zniknęły z miasta tak szybko, jak się pojawiły. A komu mogło to nie pasować? Przede wszystkim wrogom ulicznej kolei miejskiej, czyli dorożkarzom. Nie dość, że breslauerkie BSEG, czyli Wrocławskie Towarzystwo Ulicznej Kolei Żelaznej, było dobrze zorganizowane i stanowiło konkurencję w kupowaniu koni, to przede wszystkim odbierało dorożkarzom klientów. Przeciwnikom nie tylko nie

podobała się nowa forma pojazdów, ale i ich nazwa – jednak w tej kwestii nie mieli nic do gadania. Wkrótce stało się jasne, że epoka dorożek dobiega końca, a tramwaje na dobre przejmują miasto. Ale wypadki były – mimo wszystko.

Głównie dochodziło do nich przez nieobitych breslauerów. Chociaż władze miasta wydawały ustawy przyznające tramwajom pierwszeństwo, kierowcy innych pojazdów czy przechodnie rzadko się do nich stosowali. Już pierwszego dnia użytkowania linii pomiędzy dzisiejszą ulicą Wyszyńskiego a pl. Grunwaldzkim doszło do kolizji karawanu z tramwajem. Jak widać, wrocławskie wykolejenia to tradycja pielęgnowana od samego początku. I chyba Wrocław nie zamierza z niej zrezygnować.

Trzy dni? Zdecydowanie wystarczą!

Mimo to sieć tramwajów we Wrocławiu szybko się rozwijała. Powiększono ilość jutlandów oraz wagonów, tym bardziej, że te miały być teraz produkowane w Linke-Hoffmann-Werke, a nie sprowadzane z Berlina czy Kolonii. Budowano nowe zajezdnie. Pierwszymi były te przy Marii Skłodowskiej-Curie i przy Powstańców Śląskich – skończyło się na tym, że większość dzielnic miała po jednej. Wkrótce powstały główne linie, łączące obrzeża miasta i centrum z Dworcem Górnośląskim (późniejszym Hauptbahnhofem) i tym na Nadodrze. I choć jeździły co pięć minut, najgorzej mieli konduktorzy i woźnice. Z zajezdni wyjeżdżali wczesnym rankiem, a wracali do niej późnym wieczorem (czasem nawet po dwunastej), po nieustannym jeżdżeniu ulicami Breslau tam i z powrotem. W domu konduktorzy zajmowali się czyszczeniem munduru i przygotowywaniem się na następny dzień. Z kolei do zadań woźniców należało jeszcze pielęgnowanie i karmienie dwóch koni. Po powrocie z pracy zostawało im raptem kilka godzin snu. Co gorsza, musieli jeździć po mieście każdego dnia – bez wyjątku. Do dyspozycji mieli tylko trzy dni wolne w miesiącu.

Gdzie trzech się bije, tam miejski korzysta

W 1892 roku rozpoczęła się nowa era – na ulice Breslau wjechały pierwsze elektryczne tramwaje. Zgodę na ich uruchomienie linii Grabiszyn-Rakowiec dostała firma ESB, czyli Tramwaje Elektryczne Wrocław. Wkrótce BSEG przestawiło się częściowo na nowy rodzaj ulicznej kolei żelaznej, by dotrzymać kroku konkurentowi – tramwaje konne ostatecznie zlikwidowano w 1906 roku. Do akcji wkroczyła też miejska spółka – SSB. Od tej pory po breslauerkich ulicach jeździły tramwaje należące do trzech różnych firm, co mogło sprawić w przyszłości duże kłopoty. Władze Wrocławia panicznie bały się sytuacji, która miała miejsce w Berlinie – jedna z prywatnych firm zyskała monopol i dyktowała budowę

nowych linii. Urzędnicy absolutnie nie chcieli do tego dopuścić w dolnośląskiej metropolii.

Mimo to SSB wysuwało się na prowadzenie. W 1911 roku władze Breslau wykupiły BSEG, a jego majątek wcielono do SSB. Dobudowano kolejne dwie zajezdnie, a nawet rozważano wprowadzenie do Wrocławia trolejbusów. Mimo to linia po roku została zlikwidowana, a trolejbusy w dzisiejszej Polsce są charakterystyczne przede wszystkim dla Trójmiasta.

Na wrocławskim rynku pozostały tylko dwie konkurencyjne firmy. I choć SSB zyskiwało monopol, prywatne ESB dzielnie się trzymało. Mimo to już w 1900 obie spółki zawarły porozumienie o prawie pierwokupu. Polegało to na tym, że SSB będzie mieć pierwszeństwo w kupnie ESB, gdyby właściciel „Tramwajów Elektrycznych Wrocław” chciał je sprzedać.

Dwadzieścia pięć lat później sytuacja stała się jasna – ESB przeszło w stan likwidacji, a jego oszczędności wchłonięte do miejskiej spółki nastąpiło w 1931 roku. SSB stało się jedyną tramwajową spółką w Breslau, jednak aż do końcowego etapu przejmowania ESB miasto musiało uporać się, jak zwykle, z tramwajowymi problemami.

Z Politechniki do Wszędzie

Przez wszystkie lata rywalizacji między dwiema spółkami linie ulicznej kolei miejskiej, należące do SSB i ESB, rozwijały się na dwa różne sposoby, w dwóch różnych kierunkach. Starano się unikać korzystania z tych samych torów, bo to prowadziło do różnych nieprzyjemności. Tramwaje ESB i SSB dosłownie omijały się szerokim łukiem. To spowodowało, że przede wszystkim należało technicznie połączyć linie osobnych dotąd spółek oraz ujednoczyć same tramwaje. Stąd powszechny kremowy kolor, jaki można oglądać na przedwojennych pocztówkach.

W sieci tramwajowych linii za wiele się nie zmieniło – tradycyjny, przedwojenny układ torów w większości pozostał, (poza tym, że ciągle dodaje się nowe linie). Jedyną najbardziej zauważalną zmianą jest to, że tramwaje zniknęły z Rynku.

Nawet przed wojną można było stwierdzić, że z Technische Hochschule, dzisiejszej Politechniki, można dostać się do każdej dzielnicy w mieście. Scheitniger Stern – obecny plac Grunwaldzki – jak zwykle nie zawodzi. W 1939 roku z Gwiazdy Szczytnickiej można było dojechać na Szczepin, Biskupin czy Sępolno. Kursowały też tramwaje aż na lotnisko na Gądowie czy aleję Hallera. Poza tym istniał odpowiednik 0L i 0P – ówczesne linie 7 i 8.

Krakowsko-lwowskie

Po drugiej wojnie światowej dość szybko udało się przywrócić sprawność wrocławskich tramwajów, wszystko za sprawą Wystawy Ziemi Odzys-

kanych w 1948 roku („Zachód” musiał się dobrze prezentować na tle nowej Polski). Jednak z tą odbudową było trochę kłopotów – tylko 200 wagonów i mniej więcej tyle wozów silnikowych nadawało się do remontu. Reszta, czyli 43 silnikowe i 150 zwykłych nadawało się jedynie do kasacji. Być może nie wydaje się, że to dużo, ale podczas wojny tramwaje były bardzo wysłużone. W jej pierwszych latach, ze względu na oszczędzanie paliwa, przejęły pasażerów autobusów i samochodów. A podczas Festung Breslau znalazły swoje nowe zastosowanie. Okazało się, że idealnie nadają się do budowy barykad.

W powojennej Polsce najwięcej zamieszania było z systemem malowania wrocławskich tramwajów, które stały się bohaterami szlagieru „Wrocławska piosenka” Marii Koterbskiej. Bo czy po szynach zawsze mknęły niebieskie tramwaje? No właśnie tak się składa, że nie – począwszy od tego, że przed wojną były kremowe. Po 1945 roku stały się, zresztą jak cały Wrocław, spadkobiercami lwowskich tradycji, bo przejęły tamtejszy niebieski kolor. Istnieje też inne wytłumaczenie – pierwsi tramwajarze, którzy dotarli do nowego miasta na Zachodzie, pochodzili z Krakowa. A ponieważ biały i niebieski to kolory jego flagi, tramwajarze zaczęli w ten sam sposób malować wrocławskie. Kilka lat później władze w Warszawie zarządziły kolejne ujednoczenie kolorów – od tej pory pojazdy miały być czerwono-żółte, co w sumie odpowiadało fladze Wrocławia, gdyby nie to, że... barwy były odwrócone do góry nogami. Jednak do końca lat siedemdziesiątych przywrócono tradycyjne, powojenne malowanie. I od tej pory Kraków i Wrocław mają ze sobą wspólnego więcej niż inne polskie miasta – kolory tramwajów.

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 1 A



Przez wody Jordanu – ale czy do domu?

Alfred Mendes, trynidadzki pisarz, nigdy nie mówił o tym, co przeżył w czasach I wojny światowej. Wszystko zmieniło się, gdy skończył siedemdziesiąt lat. Zaczął opowiadać swoją historię, pełną mgły, niepewności i dni spędzonych w zabłoconych okopach. Wspomnienia te wyjaśniły jego natręctwo związane z ciągłym myciem rąk. Wyjawił też sekret, którego dotąd nikomu nie zdradził. Pewnego zimowego dnia przydzielono mu misję – miał dostarczyć wiadomość do innej kompanii wojsk brytyjskich. Zadanie było o tyle trudne, że jedyna droga do celu prowadziła przez ziemię niczyją. Udało mu się przeżyć tylko dzięki... niskiemu wzrostowi. Mgła, która spowiła obszar między okopami, skutecznie ukryła Alfreda. Opowieść dziadka zainspirowała jego wnuka, Sama Mendesa. Tak właśnie narodził się film „1917”.

Od innej strony

Filmy wojenne mają w sobie to coś, co nie pozwala im uniknąć zdobycia nagród na różnych festiwalach. Głównie są to jednak filmy opowiadające o czasach II wojny światowej. Jednak aby II wojna światowa była druga, musiał mieć miejsce konflikt

zbrojny, który byłby przed nią, czyli pierwszy. Często się o tym zapomina. Filmy o I wojnie światowej giną między setkami innych, mniej lub bardziej udanych, obrazów o Adolfe Hitlerze, ruchu oporu czy tajnych agentach szpiegujących w szeregach SS.



Jest słowo, które idealnie opisuje pierwszą wojnę światową. To bezsilność. Miliony ludzi zostały uwikłane w bezsensowny konflikt zbrojny między mocarstwami o przywództwo w Europie. Zaczęło się jak zawsze. Był pretekst, potem z tego pretekstu wyłoniły się stronnictwa. Zaczęło się walką konną. Ale skończyło na czołgach, okopach i trujących gazach. Żołnierze przesiadywali w zimnych, zabłoconych tunelach bunkrów. Czekali na rozkazy, by oddać jeden strzał w kierunku wroga. Każde wychylenie się ponad ziemię groziło śmiercią. Każdy niezaplanowany ruch mógł wydać wyrok śmierci na cały oddział. Ludzie nie mieli żadnej mocy sprawczej. Nie mogli się przeciwstawić, bo nie mieli jak. Pozostawało im czekać, aż wrócą do domu. Jednak nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

Z frontu wracali ludzie, którzy byli zupełnie inni. Okaleczeni fizycznie, ale i psychicznie.

A to był jedynie wstęp do tego, co stało się dwadzieścia lat później.

1600 żołnierzy

„1917” zaczyna się w pewien piękny, słoneczny dzień. Na trawie leży brytyjski żołnierz z hełmem na twarzy. Obok niego pod drzewem siedzi drugi, jego kolega. Odpoczywają. Jednak chwila wytchnienia nie trwa długo. Zostają zaproszeni do bunkra generała.

Ci dwaj żołnierze to Tom Blake, w tej roli Dean-Charles Chapman, i William Schofield, czyli George MacKay, walczący na froncie zachodnim. Wkrótce cała sytuacja się wyjaśnia. Przyjaciele otrzymują od dowódcy misję, która ma uratować 1600 żołnierzy z drugiego batalionu, tak zwanych Devonsów. Pułkownik McKenzie, który nimi kieruje, twierdzi, że Niemcy wycofują się za linię Hindenburga. Wierzy, że jeśli zaatakuje, odmieni losy wojny. Myli się – niemieckie wojska zaplanowały tę akcję i zastawiły pułapkę na żołnierzy drugiego batalionu. Generał, który dowiedział się o tym od swoich pilotów, nie ma jednak możliwości przekazania tej informacji – wszystkie łączą z Devonsami zostały odcięte. Jedyne rozwiązanie, by powstrzymać atak, to wyprawa Blake’a i Schofielda przez ziemię niczyją i opustoszałe niemieckie terytorium.

Stawka jest wysoka. Tym bardziej, że jednym z poruczników drugiego batalionu jest starszy brat Blake’a – Joseph.

„Jestem tylko ubogim wędrowcem”

Dwaj przyjaciele prą naprzód. Z początku wydaje się, że tylko Blake’owi zależy na misji, a Schofield wyruszył na wyprawę, żeby uchronić nieoświeconego przyjaciela przed nierozsądnym postępowaniem. Żołnierze wiele razy ocierają się o śmierć. Bo w tej wojnie chodzi o to, by zadać przeciwnej stronie jak największe straty. Nie można ufać

nawet opuszczonym bunkrom, a za ratunek drugiego człowieka można sporo zapłacić. W pewnym momencie Blake i Schofield muszą się rozdzielić. O tej pory tylko ten drugi jest w stanie kontynuować wyprawę. Jednak tym razem czuje się zobowiązany do wypełnienia misji. Musi to zrobić – dla Blake’a, któremu obiecał uratować jego brata.

Schofield zostaje porwany w wir zasadzek i przeszkód. Gdy w lesie spotyka swoich rodaków, ci patrzą na niego jak na obłąkanego. Nic dziwnego – przeżył kilka ucieczek przed wrogiem, bieg przez płonące miasto w środku nocy, rwący nurt rzeki i doświadczył widoku zbyt wielu zmarłych. W filmie „1917” gra aktorska George’a MacKaya wywarła na mnie ogromne wrażenie. Wszystkie okropieństwa wojny odbijają się w jego oczach. Z twarzy bohatera nie schodzi przerażenie oraz zwyczajne pragnienie przeżycia tego piekła.

Obsada aktorska filmu ma bardzo dużą zaletę – nie ma w nim całej hollywoodzkiej plejady gwiazdy. Dzięki temu „1917” przynosi powiew świeżości i chwilę odpoczynku od bardzo dobrze znanych nam twarzy. To nie oznacza, że gra aktorska jest słabsza. Wręcz przeciwnie, nie wyczułam tam ani jednego drętowego momentu.



Rosyjskie arki i inne sznury

Technika „one shot”, czyli kręcenie filmu w jednym ujęciu, jest bardzo trudna do zastosowania. Są dwie możliwości – albo kręci się wszystko dosłownie za jednym zamachem, albo poszczególne ujęcia składa się za pomocą nakładania na siebie obrazu dopiero podczas montażu. Jest też trzecia opcja – po prostu nic się nie udaje i film idzie do kosza. A o to dosyć łatwo, bo stworzenie dobrego filmu „one shot” nie należy do najprostszycy zadań. Od doboru doświadczonego operatora kamery zaczynając, na ukryciu całej ekipy (w tym dźwiękowców) kończąc. Już sama ilość obrazów tworzonych w ten sposób dużo mówi. Producenci sięgają po taką formę naprawdę rzadko, gdy wymaga tego konwencja czy fabuła filmu. Techniki tej użył m. in. Alfred Hitchcock w kryminale „Sznur”. Jest też przypadek specjalny – „Rosyjska Arka” Aleksandra Sokurowa,

o której być może też pojawi się tekst, bo to obszerny temat i zasługuje na osobny artykuł. W każdym razie można zaobserwować pewną tendencję. Formę jednego ujęcia wykorzystuje się, gdy chce się ukazać ciągłość wydarzeń oraz ich nieodłączne przenikanie się.

Powroty i rozstania

Twórcy filmu mówią, że, gdyby „1917” nie został zrealizowany w technice jednego ujęcia, obraz stałby się niepełny i w pewnym sensie fałszywy. Tylko w ten sposób dało się realistycznie oddać dramat tamtych wydarzeń. Całkowicie się z nimi zgadzam – forma „one shot” sprawia, że „1917” jest filmem innym niż wszystkie i daje się zapamiętać jako ten, podczas którego cały czas towarzyszymy bohaterowi.

To w końcu film drogi. Jesteśmy zmuszeni maszerować ze Schofieldem i Blakiem przez wymarłą, zbrązowiałą ziemię. Zielone pola i opustoszałe wsie, gdzie wrogowie karczują nawet kwitnące wiśnie i zabijają każdego. Przemykamy przez piwnice miasta smaganego językami ognia, a tam ani żywej duszy. Na końcu musimy skoczyć i dać się ponieść wodom Jordanu – by na samym końcu dotrzeć do Edenu i wysłuchać pieśni o wędrowcu „I am a poor wayfaring stranger”. Bo każdy podczas tej wojny był takim wędrowcem. Oddziały bezsensownie przenoszono z miejsca na miejsce, a nawet jeśli wróciło się do domu – trzeba było znowu wyjechać ze świadomością, że to być może ostatni raz, gdy widzi się swoich bliskich. Schofield doskonale to rozumie. I właśnie dlatego nienawidzi powrotów.

Konwencja „one shot” prowadzi do wytworzenia się między widzem a bohaterami. Kibicuje się im mimo wszystko. Wierzy się w ich powodzenie i to, że dotrą do celu, choć ich łódź

płynie przez Jordan zakolami, nurt ich znosi i chce rozbić statek o kamienie. Każdy strzał, wybuch traktuje się tak, jakby było się tam razem z nimi.

Sam Mendes nakręcił naprawdę dobry film, a Denkins zrobił świetne zdjęcia. W „1917” udało mi się wyłapać jedynie dwa momenty, w których cięcia są widoczne gołym okiem. Pierwszy, gdy Schofield traci przytomność. Drugi, gdy skacze do rzeki i ma się wrażenie, że tonie. Jediną wadą techniki „one shot” jest to, że z początku trudno było mi się przyzwyczaić do braku cięć i tej dziwnej ciągłości. Jednak gdy pozwolił się samemu sobie zanurzyć w tym świecie i oddać się misji, film wręcz płynie, a wraz z nim fabuła oraz kamera.

Blaski i cienie flar

Na wyjątkowość „1917” składa się jednak znacznie więcej elementów niż zdjęcia, za które Robert Denkins dostał Oscara. To też skrupulatność w przygotowaniach. Zanim przystąpiono do kręcenia „1917”, ekipa filmowa zajęła się budowaniem makiet plenerów. Miejsca akcji w pomniejszeniu miały służyć przede wszystkim obserwacji zachowania światła na budynkach oraz sposobu padania cieni. Wszystkie plenery były wykonane specjalnie na potrzeby filmu, a akcja nigdy nie toczyła się dwa razy w tym samym miejscu. To tylko dowodzi, jak bardzo pracowity był „1917”. Szczególne trudności sprawiła scena rozgrywająca się we francuskim, płonącym miasteczku. Tym bardziej, że miała ona miejsce nocą – tutaj głównym problemem stawało się więc oświetlenie. Przed jej nakręceniem twórcy badali na makiecie, jak będzie padało światło spadających flar i jak będą się przesuwali ich cienie. Z kolei rolę płomieni pełniła wielka konstrukcja z zamontowanymi lampami. To właśnie one imitowały światło ognia.



Produkcja filmu Sama Mendesa była też ukłonem w stronę filmów starszej generacji, czyli tych sprzed epoki CGI, gdy nie było mowy o zielonym ekranie i tworzeniu scen plenerowych w zamkniętym studio. Denkins mówi, że miała to być przejrzysta wiadomość. Że w dzisiejszych czasach wciąż da się zrobić coś realistycznego bez pracy zdominowanej komputerem i wygenerowanymi przez program drzewami, domkami czy okopami. W ten sposób można dojść do uzasadnienia Oscara za najlepsze efekty specjalne. Niektórzy mieli wątpliwości co do tej nagrody, jednak należy wziąć pod uwagę ogrom pracy, której w filmie za bardzo nie widać. Wszystkie makiety i eksperymenty ze światłem były po to, by otrzymać film z krwi i kości, miejscami hipnotyzujący, niczym surrealistyczny koszmar – bo przecież właśnie taka była ta wojna. „1917” to kinowe, dramatyczne doświadczenie. Nie wiem, czy będę do niego wracać – ale wiem, że na pewno warto go obejrzeć.

Droga do Edenu

W recenzji filmów takich jak ten trudno jest uniknąć nawet najmniejszych spojlerów, jednak bez nich opisanie wartości „1917” byłoby rzeczą niemożliwą. Nie będę więc za wiele pisać o końcówce – jednak była to właśnie moja ulubiona scena. Bo była tam pogoń, wyścig z czasem, gdy już wszystko wydało się ustalone i zakończone. Schofield, wyczerpany nieustanną drogą, przeciskający się pośród tysiąca sześciuset żołnierzy, idących na

pewną śmierć. Zdruzgotani generałowie, zagubieni na wojnie jak małe dzieci i skłonni jedynie do płaczu. W końcu postawienie wszystkiego na jedną kartę. Szaleńczy bieg przed siebie, pośród wybuchów i ferworu walki. A na końcu decyzja, która... Właśnie – czy która cokolwiek zmieni? Bo gdyby Schofieldowi udało się zatrzymać atak, mający uratować tyle istnień – czy tak naprawdę by ich ocalił? Wszyscy wiedzą, jaka to była wojna. Być może Devonsi zyskaliby raptem parę dni życia, może nawet godzin. A jednak było warto wyruszyć w drogę...

„Ta wojna skończy się w jeden sposób” – mówi rozeźlony pułkownik McKenzie, o znajomej twarzy Benedicta Cumberbatcha, „gdy wszyscy nawzajem się pozabijają”.

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 1 A



Sekrety ciasta drożdżowego

Wielu osobom drożdżówki kojarzą się z kawałkiem suchej buły, w której środku znajdziemy kapkę dżemu (a raczej wyrobu dżemopodobnego), który w innym wcieleniu może stał kiedyś obok prawdziwych owoców. Przez aktualny pośpiech i brak czasu, którego drożdżowe potrzebuje bardzo dużo, piekarnie czy cukiernie nie zadają sobie trudu żeby stworzyć uczciwe ciasto. Idą na łatwiznę, przez co najpopularniejsze, ale wcale nie najprostsze ciasto w kraju, mocno traci na popularności.

Cukierniczy cud?

Tendencję odchodzenia od klasycznych, polskich wypieków zmieniają pracownie cukiernicze, w których składnik jest najważniejszy, a osobom odpowiedzialnym za przygotowanie wypieków zależy, aby były one dopracowane tak mocno jak tylko się da. Kawiarenką bez dwóch zdań zasługującą na miano najlepszej we Wrocławiu jest Gigi Cafe. Położona w małej wrocławskiej galerii Ferio Gaj przez cały dzień przyciąga rzesze spragnionych słodkości klientów. Stojąc w zazwyczaj niemałej kolejce, możemy podziwiać produkcję różnych wyrobów. Mistrzynie cukiernictwa na oczach gości zawijają rogaliki z różą czy ładują (około ćwierć kilograma na jedną bułę!) jagody w drożdżówki. W Gigi najbardziej liczy się składnik - słynne bułki aż do przesady wypełnione są nadzieniem, których wybór jest tutaj mocno zróżnicowany. Od tych „całorocznych” z kremem malinowym (oczywiście na wiejskiej, świeżej śmietanie) czy kremem kokosowym i czekoladą, po kojarzący się z latem rabarbar z truskawką i najlepszą z najlepszych - jagodziankę. Jak zapewniają pracownice kawiarni, wszystkie owoce, oczywiście jeśli mogą, pochodzą z lokalnych, dolnośląskich upraw i są przede wszystkim świeże, dlatego też niemal codziennie ekspedientki miło muszą tłumaczyć zdziwionym klientom, dlaczego w lutym nie ma na sprzedaż bułek z jagodami. W małej cukierni dostaniemy także porządną kawę, różnego rodzaju (oczywiście mocno dopracowane) torty, a podczas karnawału - pączki, także wypełnione kremem po brzegi. Mimo ceny wyrobów, wypieki wrocławskiej cukierni na popularność nie narzekają. Czego to zasługa? W końcu każdy może kupić sobie owoce, wyrobić ciasto i zapiec w piekarniku. No właśnie, jak prawie zawsze, także tutaj liczą się detale i detaliaki.

Idealne drożdżowe

Przepisów na ciasto drożdżowe jest cała masa - najlepsze są te, w których do miski wrzucamy same żółtka oraz wlewamy, bo rozpuszczone i wystudzone, masło. Każdy składnik idący do wyrobu jest ważny - od drożdży na rozczyń, które muszą być przede wszystkim świeże i pachnące, a nie unoszące się piwną wonią, prawdziwego wiejskiego masła, po mąkę - odpowiedni typ w zależności od przeznaczenia ciasta. Składniki to jedno, a jak mawia sama Magda Gessler, dopiero gdy przygotujemy wszystkie produkty, rozpoczyna się prawdziwa golgota. Jest nią mianowicie wyrabianie ciasta. Można oczywiście pomóc sobie mikserem czy innymi maszynami, ale prawdą jest, że nic nie zastąpi ciepła i struktury rąk. Dobrze wiedzą to nasze babacie i prababacie, które doskonale pamiętają smak prawdziwego, pełnotłustego mleka i zwyczajnie maślanego masła, które żadnych tajemniczych dodatków nie potrzebowało. „Jak ktoś ma zimne ręce, to niech się odczepi od ciasta drożdżowego!”. To prawda, bo narażając prawie wypiek na przeciągi czy niskie temperatury możemy zwyczajnie doprowadzić do zepsucia naszego wyrobu. Po odpowiednio długim wyrastaniu (za długie może zakwasić ciasto) następuje formowanie wypieku. Tutaj też przydadzą się sprawne ręce. Niełatwo jest jednak napchać do bułki ponad 20 deko nadzienia. Na koniec pieczenie: jak ciasto jest dobrze wyrobione, długo w piekarniku być nie musi.

Poza składnikami, ważnym aspektem są więc czynniki czysto fizyczne - odpowiednie temperatury w różnych procesach przygotowywania ciasta, właściwie proporcje i w końcu samo wyrabianie ciasta. Mówiąc ściślej - odpowiednie jego napowietrzenie, od rozpuszczenia drożdży, poprzez ubicie jajek na sztywno, po solidne zagniecenie ciasta.

DANIEL WITKOWSKI – 1 C

**„POLITECHNIK JUNIOR”
PERIODYK AKADEMICKIEGO LICEUM
OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ**

Redaktor naczelny: Maksymilian Skica

Zastępca red. naczelnego: Małgorzata Wieczorkiewicz.

Redaktorzy: Bartosz Kaczmarek, Emilia Rynkiewicz, Daniel Witkowski.

Technicy komputerowi: Michał Jagodziński,
Kamil Janowski.

Opiekun pisma: Wojciech Walczak.